

Jan Maciejewski: Milczenie katedry

Katedry nie były owocem zbiorowego natchnienia; pot wylewający się przy ich budowie śmierdział tak samo, jak ten, który przelewano na polach i w bitwach. Nie osładzała go też ani satysfakcja z efektu pracy (bo większość z tych, którzy brali w niej udział, nie dożyła jej końca), ani nadzieja na zapisanie się w pamięci potomnych – nazwiska architektów, murarzy i robotników nie zmieściły się na murach katedr, zniknęły w ich cieniu – pisze Jan Maciejewski.

Wesprzyj wydanie książki Jana Maciejewskiego *Milczenie katedry*

18 V 2019

Już ich nie słychać. Pewnie przenieśli się gdzie indziej, bo milkną tylko wtedy, kiedy wrzeszczą w innym miejscu. Ogień płonął kilka godzin, jego zdjęcia spowszedniały po kilku dniach. Niewiele czasu na sformułowanie przepowiedni, jeszcze mniej na odczytanie symboli. Trzeba było mówić szybko, łykać spółgłoski i mylić szyk zdań. Trudno było zrozumieć, co z osobna mieli na myśli, ale każdy, nawet najbardziej poplątany jazgot ma jakąś melodię. Tak jak rój pszczół ma swój zbiorowy, rodzący się dopiero w tłumie rozum kierujący jego lotem, tak chóry oburzonych i poruszonych, choćby zbiegli się z różnych miejsc i chcieli wykrzyknąć zupełnie co innego, podporządkowują się w końcu nieistniejącemu dyrygentowi. Tym razem w jego partyturze było zapisane tylko jedno słowo: koniec – cywilizacji, Kościoła, Francji, Europy. Tu melodia znowu się rozmywa.

Ale to nie pożar katedry Notre Dame był prawdziwym symbolem, dowodem na cokolwiek. Będzie nim dopiero jej odbudowa. Bo nawet jeżeli do niej dojdzie, to, co powstanie, będzie tylko atrapą, hołdem złożonym przyzwyczajeniu i sentymentowi, zaklejeniem niepokojącej dziury w krajobrazie. Nie sam pożar, tylko sprzątanie po nim będzie prawdziwym symbolem końca. Końca wielkiego milczenia, z którego wyrosły ta i setki innych katedr.

Nie sam pożar, tylko sprzątanie po nim będzie prawdziwym symbolem końca. Końca wielkiego milczenia, z którego wyrosły ta i setki innych katedr

Technicznie o niebo bardziej zaawansowani niż ich budowniczości, nie będziemy jednak w stanie im dorównać. I wcale nie dlatego, że byli od nas lepsi,

bardziej szlachetni czy pracowici. Renaud de Mantauban zaciągnął się do budowy katedry, żeby zadośćuczynić za grzechy młodości. Pracował ciężiej niż inni, wieczorami brał mniejszą od nich dniówkę. Muratorzy kłócili się między sobą, któremu z nich ma pomagać. Po ośmiu dniach towarzysze pracy walnęli go ciężkim młotem w tył głowy, ciało wrzucili do Renu. Bali się, że jego pracowitość odbierze im w końcu chleb od ust. W XII wieku kierowały nami te same emocje i instynkty co dzisiaj. Równie bezwzględnie obchodziły się one z tym, czego nie rozumiały, co przychodziło z innego porządku. Katedry nie były owocem zbiorowego natchnienia; pot wylewający się przy ich budowie śmierdział tak samo, jak ten, który przelewano na polach i w bitwach. Nie osładzała go też ani satysfakcja z efektu pracy (bo większość z tych, którzy brali w niej udział, nie dożyła jej końca), ani nadzieja na zapisanie się w pamięci potomnych – nazwiska architektów, murarzy i robotników nie zmieściły się na murach katedr, zniknęły w ich cieniu.

A jednak rosły, jedna za drugą, coraz wyższe, całymi pasmami. Żywiły się ruinami rzymskich budowli i kamieniołomami, materiał do ich budowli zapewniały solidarnie historia i natura. Nikt nie pytał, dlaczego i po co, nie szukał w ich istnieniu praktycznego, politycznego czy choćby symbolicznego celu. To byłoby tak, jak pytać górę, czemu wyrosła akurat w tym miejscu. Wyrosły same z siebie. Ludzki wysiłek, który do tego doprowadził, był tak mimowolny, że spokojnie można go zakwalifikować jako jedną z sił natury. Nie trzeba było do niego zmuszać ani zachęcać, wystarczyło otworzyć przed nim drzwi. Wystarczyło milczeć.

Ich przewaga nad nami polegała na tym, że byli obyci i pogodzeni z tajemnicą. Z tą podziemną, płynącą pod poziomem naszych losów i biografii rzeką, która użyznia największe z dzieł i najbardziej pospolite ze zbiegów okoliczności. Nie pytali, skąd i dokąd płynie, dlaczego właśnie tamtędy. W ogóle byli dużo mniej ciekawscy od nas, a jednak dużo więcej rozumieli. Wtedy, w pierwszych wiekach drugiego tysiąclecia zrozumieli, że coś wokół nich i w nich samych chce urosnąć i poddali się temu milczącemu rozkazowi jak zmianie pogody. Ruszyli na place budowy, jak szuka się schronienia przed ulewą. Nie mieli naszej potrzeby bycia usłyszonymi i zauważonymi i dlatego potrafili słuchać i stworzyć coś, czego nie da się przegapić. Bo krzyk może być co najwyżej głośny, a milczenie potrafi być wielkie.

Jan Maciejewski

Wesprzyj wydanie książki Jana Maciejewskiego *Milczenie katedry*